

Muzyka dwóch serc. Sonata jednej miłości

Biegający hoso

BESTSELLER NEW YORK TIMES A

AMY HARMON

 editored

Tytuł oryginału: Running Barefoot

Tłumaczenie: Joanna Sugiero

ISBN: 978-83-283-3778-7

Copyright © 2012 by Amy Harmon

No part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise) without the prior written permission of the above author of this book.

Polish edition copyright © 2018 by Helion SA
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Wydawnictwo HELION
ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

1. Preludium

PRZEZ CAŁE ŻYCIE mieszkałam w małym miasteczku w stanie Utah o nazwie Levan. Leży ono dokładnie pośrodku stanu, a jego mieszkańcy lubią żartować, że Levan to od tyłu *navel*, czyli po angielsku pępek. „Jesteśmy pępkiem Utah”, mawiają. Wiem, że nie jest to żart wysokich lotów, ale dzięki niemu ludzie chyba lepiej zapamiętują nazwę naszego miasteczka. Moja rodzina mieszka w Levan od wielu pokoleń, od czasów pierwszych osadników, którzy pod koniec lat 60. XIX wieku założyli tę osadę i nazwali ją Małą Danią. Te pierwsze kilka rodzin, które zasiedliły miasteczko, należało do społeczności mormonów. Marzyły o tym, żeby znaleźć dla siebie dom — miejsce, w którym będą wychowywać swoje dzieci i uczestniczyć w swoich nabożeństwach, nie nękanymi przez nikogo.

Większość mieszkańców miasteczka to potomkowie jasnowłosych Duńczyków. Moi przodkowie, Jensenowie, należeli do pierwszych osadników z Danii. Mimo że od tamtych czasów urodziło się wiele nowych pokoleń, moje włosy wciąż mają jasny kolor. Moja mama, która była jedyną osobą z ciemnymi włosami w rodzinie, nie miała żadnych szans w starciu z upartym duńskim genem. Mój tata, troje moich braci i ja mamy takie same jasne włosy i błękitne oczy jak nasz prapradziadek Jensen, który jako młody człowiek przemierzył pobliskie równiny, a następnie osiedlił się w Levan, zbudował dom i rozpoczął nowe życie.

Wiele lat temu Levan było doskonale prosperującym małym miastem — tak przynajmniej twierdził mój tata. Na Main Street stał Sklep Shepherd'a i lodziarnia, w której sprzedawano lody zrobione z bloków lodu, ciętych i przechowywanych w dużej chłodni

zakrytej ziemią, solą i sianem podczas letnich miesięcy. Mieliśmy porządną szkołę podstawową i miejski ratusz. Potem zbudowano autostradę, która obiegała łukiem Levan w odległości kilku mil. Nasze miasteczko i tak nigdy nie przyciągało szczególnej uwagi, ale ta autostrada zapoczątkowała jego powolną śmierć. Kropelki nowej krwi zaczęły spływać wolniej, aż w ogóle przestały płynąć. Kiedy się urodziłam, lodziarni już od dawna nie było, a potem swoje podwoje musiał zamknąć Sklep Shepherd.

Szkoła podstawowa popadła w ruinę i zamieniła się w szkołę jednoizbową, gdy młodsze pokolenia dorosły i nie pozostawiły po sobie nikogo, kto mógłby zająć po nich miejsce w szkolnych ławach. Starsze dzieci jeździły autobusem do gimnazjum do pobliskiego miasteczka o nazwie Nephi, oddalonego o pół godziny drogi. Kiedy podrosłam na tyle, żeby rozpocząć edukację szkolną, mieliśmy jednego nauczyciela dla dzieci od zerówki do drugiej klasy i drugiego dla dzieci od trzeciej do szóstej klasy. Niektórzy się wyprowadzili, ale większość rodzin żyła w naszym miasteczku od pokoleń i była z nim mocno związana.

Na Main Street pozostał tylko mały sklep wielobranżowy, w którym mieszkańcy mogli kupować wszystko, od mleka po nawozy. Nosił dumną nazwę Centrum Handlowe. Nie mam pojęcia dlaczego — był kompletnym przeciwieństwem domu handlowego. Dawno temu właściciel dobudował pomieszczenia na obu końcach sklepu i wynajął lokale mieszkańcom, żeby mogli tam prowadzić własną działalność.

W pierwszym lokalu stało kilka stolików i była mała kuchnia; był to niewielki bar, w którym starsi mieszkańcy spotykali się na porannej kawie. „Spocona Betty” Johnson (nie wiedziała, że ją tak przezywamy, bo gdy z nią rozmawialiśmy, zwracaliśmy się do niej „pani Johnson”) prowadziła ten bar dłużej, niż sięgała moja pamięć. Sama się wszystkim zajmowała. Gotowała, obsługiwała stoliki i prowadziła swój bar. Robiła puszyste domowe donaty i najlepsze na świecie frytki, które ociekały tłuszczem. Wszystkie jej dania były smażone na głębokim tłuszczu, a jej twarz zawsze błyszczała od tłuszczu i gorąca

— stąd właśnie jej przezwisko, „Spocona Betty”. Nawet gdy się ładnie wystroiła do kościoła w niedzielę, jej twarz wciąż błyszczała i niestety, nie był to blask Ducha Świętego.

Na drugim końcu sklepu swój zakład prowadziła moja ciocia Louise, która oferowała strzyżenie, farbowanie i dobre towarzystwo niemal wszystkim kobietom w Levan. Ciocia nazywała się Ballow, z akcentem na drugą sylabę (Ba-LU). Swój salon nazwała „Ballow’s Do”, ale większość ludzi mówiła na niego po prostu „U Louise”.

Przed „centrum handlowym” stały dwa dystrybutory paliw i budka w kształcie lodowego rożka o nazwie „Wąska”, którą latem prowadziły dzieci cioci Louise (moi kuzyni). Mąż Louise, Bob, był kierowcą ciężarówki i często nie było go w domu, a Louise miała pięcioro dzieci, które musiała czymś zająć, w czasie gdy strzygła swoje klientki. Uznała, że dobrym pomysłem będzie założenie rodzinnego biznesu. I tak powstała budka z lodami „Wąska”. Wujek Bob zbudował proste drewniane stoisko, które wyglądało trochę jak wysoki, wąski wychodek — stąd jego nazwa, „Wąska”. Ciocia Louise zaopatrywała się w bloki lodu w sklepie wielobranżowym. Kupiła maszynkę do kruszenia lodu i syropy o różnych smakach od dystrybutora coli w Nephi, a także słomki, serwetki i styropianowe kubki w dwóch rozmiarach. Był to dość prosty model biznesowy z bardzo niskimi kosztami operacyjnymi. Louise płaciła dzieciom po pięć dolarów za każdy dzień pracy. Dodatkowo mogły zjeść tyle rożków kruszonego lodu, ile tylko chciały. Jednego lata moja kuzynka Tara, która była w moim wieku, zjadła tyle rożków, że zrobiło jej się niedobrze. Od tamtego dnia nie mogła na nie patrzeć; nawet zapach kruszonego lodu przyprawiał ją o mdłości.

Na końcu ulicy stała poczta — mały budynek z cegieł — oraz bar „U Pete’a”, który sąsiadował z kościołem (tak, wiem, to ciekawa lokalizacja). I to było całe Levan. Wszyscy wiedzieli, kto się w czym specjalizuje. Mieliśmy kowala, piekarza, a nawet producenta świec. Mój tata potrafił podkuć konia lepiej niż ktokolwiek inny, Jens Stephenson był świetnym mechanikiem, a Paul Aagard zręcznym stolarzem —

i tak dalej. Mieliśmy utalentowane krawcowe, kucharzy i tapeciaryzy. Elena Rosquit była położną i pomogła przyjść na świat kilkorgu dzieciom, które zaczęły się rodzić tak nagle, że nie było już czasu, żeby pojechać do szpitala w Nephi. Nawzajem korzystaliśmy ze swoich umiejętności, bez względu na to, czy prowadziliśmy oficjalną działalność, czy nie.

Do Levan wprowadziło się też kilka nowych rodzin, które uznały, że nasze miasteczko znajduje się w atrakcyjnej odległości od większych miast. Postanowiły tu się osiedlić i zapuścić korzenie. W bardzo małych miasteczkach dzieci są wychowywane po trochu przez wszystkich mieszkańców. Wszyscy się znają, a jeśli dzieciak coś przeskrobie, rodzice dowiadują się o tym, zanim ten zdąży wrócić do domu i opowiedzieć im swoją wersję historii. Miasto zajmowało obszar nie większy niż jedna mila kwadratowa, nie licząc farm na obrzeżach, ale dla mnie jako dziecka było całym światem.

Być może małeńkość tego świata sprawiła, że moja pierwsza poważna strata była bardziej znośna. Wielu ludzi otoczyło mnie wtedy ogromną troską i miłością. Ale po drugiej utracie dużo trudniej mi było dojść do siebie, ponieważ miała ona charakter zbiorowy — odebrane zostało bardzo młode życie, co było szokiem dla ospełonej społeczności naszego miasteczka. Nikt nie oczekiwał ode mnie, że wrócę do normalnego życia. Straciłam swoją drugą połówkę, przez co poczułam się jak but, który utracił towarzysza i już nigdy nie zostanie z powrotem założony. A nie potrafiłam biegać boso.

Pierwsza strata, o której wspomniałam, to była śmierć mojej mamy. Miałam niespełna dziewięć lat, gdy Janelle Jensen, żona i matka, przegrała w walce z rakiem piersi. Bardzo dobrze pamiętam, jaka byłam przerażona, gdy jej piękne włosy wypadły. Zaczęła wtedy nosić małą różową czapkę, żeby zakryć głowę, która zrobiła się łysa jak główka niemowlęcia. Mama śmiała się i mówiła, że kupi sobie perukę blond, dzięki której wreszcie będzie pasować do reszty rodziny. Nigdy tego nie zrobiła. Odeszła zbyt wcześnie. Zdiagnozowano u niej raka tuż po świętach Bożego Narodzenia. Przerzuty objęły płuca i nie

można było już ich operować. Mama zmarła dwa tygodnie przed 4 lipca. Pamiętam pierwsze dźwięki uroczystości upamiętniającej niepodległość naszego państwa. Byłam wściekła, widząc, jak inni świętują. Zgrzyty, wybuchy i świsty sztucznych ogni irytowały również mojego tatę — widziałam jego zaciśnięte usta i pięści.

Spojrzał wtedy na nas, na czworo posępnych blondasków, i spróbował się uśmiechnąć.

— Słuchajcie, Załogo J — jego głos się załamał na dźwięk ulubionego rodzinnego przezwiska mojej mamy. — Chcecie pojechać do Nephi i zobaczyć duże fajerwerki?

Tata miał na imię Jim, a mama uznała, że taka sama pierwsza litera ich imion jest tylko kolejnym dowodem na to, że są sobie pisani. Dlatego każdemu ze swoich dzieci również nadała imię zaczynające się literą J. Nie było to superoryginalne, ponieważ w Levan można znaleźć rodziny z imionami na K, B czy Q. Podaj literę, a ja znajdę ci rodzinę. Niektórzy nawet nadawali swoim dzieciom imiona przydomki takie jak Rodeo czy Justa Kowbojka. Nie żartuję.

A w mojej rodzinie wszyscy byliśmy „J”: Jim, Janelle, Jacob, Jared, Johnny i Josie Jo Jensen. Stąd nazwa „Załoga J”. Jedynym problemem, jaki się z tym wiązał, było to, że zawsze, gdy mama chciała zawołać kogoś z nas, wygłaszała całą litanię imion na J, zanim trafiła na to właściwe. Pamiętam zupełnie nieznaczący fakt (nie mam pojęcia czemu), że w ciągu ostatnich dni i tygodni przed swoją śmiercią mama ani razu nie pomyliła naszych imion. Może szamotanina codziennego życia, która kiedyś utrudniała jej przypomnienie sobie właściwego słowa, rozpuściła się w swojej błahości, a wtedy mama zaczęła przykładać większą uwagę do każdego naszego słowa, każdej miny i każdego ruchu.

Tamtego roku nie pojechaliliśmy obejrzeć pokazu fajerwerków. Ja z braćmi poszłam do sąsiadów, którzy puszczały zwykle sztuczne ognie z pustych butelek, a mój tata spędził całą noc w stajni, próbując uciec przed prześladowającymi go odgłosami zabawy. Ciężka praca stała się sposobem na walkę z depresją; pracował bez wytchnienia, a w wolnym czasie pozwalał, żeby alkohol rozmazywał jego obraz świata.

Mieliśmy małą farmę z kurami, krowami i końmi. Nie przynosiła ona dużych zysków, dlatego tata pracował w elektrowni atomowej w Nephi, żeby zarobić na utrzymanie. Moi trzej bracia byli dużo starsi ode mnie, więc moje obowiązki na farmie były minimalne. Tata potrzebował wprawdzie kogoś, kto będzie dbać o dom i gotować obiady, a ja sądziłam, że zastąpię w tym mamę. Jacob, Jared i Johnny byli odpowiednio siedem, sześć i pięć lat starsi ode mnie. Mama zawsze powtarzała, że jestem piękną niespodzianką, a kiedy żyła, czerpałam radość z tego, że jestem jej małą dziewczynką i oczkiem w głowie całej rodziny. Ale gdy odeszła, wszystko się zmieniło. Nikt już nie chciał mieć w domu małego dziecka.

Tuż po śmierci mamy tyle osób zaoferowało nam swoją pomoc, że nie wiedzieliśmy, co z nią robić. Levan jest jedynym znanym mi miasteczkiem, w którym ludzie spontanicznie przygotowują stypę dla rodziny zmarłego po pogrzebie. Tradycyjnie trumna jest wystawiana dzień przed pogrzebem, a potem jeszcze raz na godzinę przed rozpoczęciem nabożeństwa żałobnego. Po pogrzebie i pochowaniu zmarłego rodzina i przyjaciele wracają do kościoła na duży posiłek przygotowany przez życzliwe mieszkanki naszego miasta. Nikt nigdy nie mówi „ja przyniosę ciasto” albo „ja załatwię ziemniaki”. Jedzenie po prostu pojawia się na stołach — ogromny wybór mięs, sałatek i przystawek, a także ciast, placków i innych wypieków. Mieszkanki Levan potrafią przygotować posiłek, jakiego nigdy w życiu nie widziałeś. Pamiętam, jak po pogrzebie mamy chodziłam wzdłuż stołów zastawionych jedzeniem i przyglądałam się aromatycznym potrawom, mając świadomość, że niczego nie przełknę. Byłam zbyt mała, żeby zrozumieć, że jedzenie ma zdolność poprawy nastroju.

W następnych dniach ludzie wciąż okazywali nam ogromną życzliwość. Przez trzy tygodnie przynosili nam obiady — codziennie ktoś inny. Nettie Yates, starsza kobieta z końca ulicy, przychodziła prawie co drugi wieczór i przygotowywała nam posiłki — większość z nich wkładała do pojemników i zamrażała na później. Żadna rodzina nie byłaby w stanie przejeść takich ilości jedzenia, jakie dostawali-

śmy (a przecież moi trzej bracia byli nastolatkami). W końcu jednak jedzenie przestało do nas przyjeżdżać, a uwaga mieszkańców Levan przeniosła się na inne tragedie.

Tata nie był mistrzem kuchni, dlatego po kilku miesiącach jedzenia płatków śniadaniowych i kanapek z masłem orzechowym poprosiłam ciocię Louise, żeby pokazała mi, jak gotować. Przyjechała do nas w sobotę i nauczyła mnie podstaw kuchni. Przez minutę wyjaśniała mi szczegółowo, jak ugotować wodę („Zostaw przykrywkę, aż woda zacznie się gotować, a wtedy ją zdejmij!”), usmażyć jajka („Musisz ustawić mały płomień, żeby się nie przypaliły!”) i jak zrobić hamburgera („Obracaj go tak długo, aż mięso nie będzie różowe w żadnym miejscu”). Wszystko sobie spisałam, prosząc ciocię, żeby dokładnie opisała każdy krok. Zanotowałam przepisy na naleśniki („Obróć je na drugą stronę, gdy zaczną się w nich robić duże kraterzy”), spaghetti (odrobina brązowego cukru dodana do sosu była sekretnym składnikiem cioci Louise), a także na ciasteczka z kawałkami czekolady (które dzięki użyciu tłuszczu piekarskiego były miękkie i puszyste). Pod koniec lekcji ciocia była wykończona, ale efektem naszych rozmów była długa lista bardzo szczegółowych instrukcji napisanych dziecięcym pismem, którą przyczepiłam magnesem do lodówki.

Po miesiącu wszyscy już mieli dość moich naleśników i spaghetti; tylko ciasteczka z kawałkami czekolady nigdy się nie znudziły moim braciom. Ciocia powiedziała, że jeśli „będzie musiała przejść przez to jeszcze raz”, jej głowa eksploduje, więc popytałam kobiety z kościoła, czy mogłabym je odwiedzić i popatrzeć, jak przygotowują obiad. Robiłam to za każdym razem, gdy potrzebowałam nowego przepisu. Moje sąsiadki zawsze były miłe i cierpliwe. Przeprowadzały mnie przez cały proces gotowania, opisując składniki i wyjaśniając, gdzie mogę je znaleźć w sklepie lub w ogrodzie. Rysowałam sobie nawet puszkę i kartony, żeby nie zapomnieć, jak wyglądają poszczególne produkty. Zrobiłam sobie wykres z kolorowymi opisami TOPOWYCH warzyw (czyli na przykład marchewki, rzodkiewki albo ziemniaka), żeby wiedzieć, co mogę wrywać z ziemi. Przez pierwsze

kilka lat po śmierci mamy nie mieliśmy własnego ogródka, ale Nettie Yates pozwalała mi robić naloty na jej warzywniak, kiedy tylko chciałam. W końcu pomogła mi założyć własny ogródek warzywny, który z roku na rok coraz bardziej się powiększał. Kiedy chodziłam do szkoły średniej, miałam już porządny ogródek, który sama pielęgnowałam — siałam nasiona, a potem zbierałam plony.

Nauczyłam się robić pranie — oddzielać białe ubrania od ciemnych i odróżniać poplamione olejem spodnie robocze taty od ubrań zabrudzonych w normalny sposób. Dbałam o czystość w domu, wyobrażając sobie, że jestem Królowną Śnieżką opiekującą się siedmioma krasnoludkami bałaganiarzami. Jeździłam rowerem do starego budynku poczty i codziennie sprawdzałam, czy przysły do nas jakieś przesyłki. W Levan nie mieliśmy skrzynek pocztowych przed domami. Wszystkie przesyłki były przywożone na pocztę, a każdy mieszkaniec miał tam swoją skrzynkę i kluczyk. Tata przygotowywał przesyłki, a ja sprawdzałam, czy nie zapomniał o przyklejeniu znaczków, i zabierałam je na pocztę. W wieku dwunastu lat umiałam prowadzić książeczkę czekową. Tata założył mi domowe konto. Od tamtego czasu kupowałam przedmioty codziennego użytku oraz produkty spożywcze z pieniędzy z tego konta. Tata zajmował się farmą, a ja dbałam o dom.

Jedyną rzeczą, której nie chciałam robić, było zajmowanie się kurami. To zawsze należało do obowiązków mamy — karmiła je, sprzątała po nich i wybierała jajka. Ja zawsze strasznie się ich bałam. Mama kiedyś mi powiedziała, że gdy miałam kilka lat, moi bracia na chwilę zapomnieli mnie pilnować. Niezauważona przez nikogo wyszłam na czworakach na podwórze przed stajnią, a wtedy jedna szczególnie agresywna czerwona kura odcięła mi drogę. Kiedy mama mnie znalazła, byłam śmiertelnie przerażona. Mama wspominała, że nie płakałam, ale gdy wzięła mnie na ręce, byłam sztywna jak kij, a potem przez następne tygodnie regularnie dręczyły mnie koszmary.

Cięzko jest polubić kury. Są agresywne i nerwowe. Kiedy coś im się nie podoba, od razu atakują i dziobią. Gdy po raz pierwszy po

1 . Preludium

śmierci mamy wybierałam jajka, byłam tak przerażona, że prawie wpadłam w hiperwentylację. Powoli pokonywałam swój strach, zyskując nad nim większą władzę. W końcu naprawdę zaczęłam się troszczyć o te niewdzięczne ptaki. Nadałam imię każdemu z nich i rozmawiałam z nimi tak, jakby były moimi niesfornymi dziećmi. Ucząc się kolejnych prac przy kurach, czułam, że mam coraz większą kontrolę nad sytuacją. W ten sposób dzielnie podążałam śladami mamy.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA



Helion SA

Josie Jensen była nieśmiałą trzynastolatką. Miała niezwykle talent: rozumiała muzykę — i bardzo ją kochała. Pewnego dnia w szkolnym autobusie poznała Samuela Yazziego, osiemnastoletniego Indianina z plemienia Nawaho. Zaczęli rozmawiać, a wraz z kolejnymi spotkaniami i rozważaniami na temat książek i muzyki, narodziła się niezwykła przyjaźń. Sam, który w głębi serca odczuwał złość i pretensje do świata, dzięki młodziutkiej dziewczynie odkrył piękniejsze strony życia. Ona opowiadała mu o swoich ulubionych kompozytorach, on jej — o legendach Indian Nawaho. Stali się bratnimi duszami.

Po ukończeniu szkoły chłopak wyjechał z miasteczka szukać szczęśliwej przyszłości. Postanowił zostać żołnierzem piechoty morskiej.

Kiedy po latach powrócił do Levan, odkrył, że Josie niewiele się zmieniła, jednak teraz bardzo potrzebowała tego, co kiedyś sama ofiarowała Samowi: akceptacji, rozmowy i wsparcia. A uczucie, które narodziło się w szkolnym autobusie, mimo upływu czasu przetrwało i rozkwitło...

To wzruszająca i ciepła historia o przyjaźni, wspieraniu się, a także o tym, jak wspólnie spoglądać w przyszłość i jak trudne może być zaakceptowanie przeszłości. Urzeka realnie stworzonymi postaciami i złożonością ich charakterów. Niemal usłyszysz muzykę, o której mówi Josie, dotkniesz indiańskiej duszy Sama, a także poczujesz uskrzydlającą moc ich miłości!

AMY HARMON to znana autorka znakomitych powieści, choć sama utrzymuje, że przede wszystkim jest żoną i mamą. Pochodzi z Levan w stanie Utah. Wychowywała się na wsi, a jej ulubioną rozrywką były książki i tworzenie własnych historii. Jest mówcą motywacyjnym, nauczycielką w szkole podstawowej i średniej, a także członkiem chóru Saints Unified Voices. Jej publikacje spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem, zdobyły wiele nagród i wyróżnień (Wall Street Journal Bestseller, New York Times Bestseller, Whitney Award, Swirl Award i inne).

 **editio red**

 **Księgarnia internetowa:**
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:

- <http://editio.pl/promocje>
- Książki najchętniej czytane:
- <http://editio.pl/bestsellery>
- Zamów informacje o nowościach:
- <http://editio.pl/nowości>

Hellon SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-3778-7



Cena 39,90 zł